

TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 9.

Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, $\frac{14}{26}$ listopada 1859.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartal. rs. 3. Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM I.

TREŚĆ NUMERU.

Karol Szajnocha (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Sprawozdanie z postępu nauk przyrodzonych, przemysłu i wynalazków. — Gmach towarzystwa kredytowego w Warszawie (z drzeworytem). — Hotel angielski w Warszawie (z drzeworytem). — Pogrzebanie kości na dawnym cmentarzu ks. reformatów w Warszawie (z drzeworytem). — Korrespondencya od redakcyi. — Rozmaitości. — Nowy Kastor i Poluks, albo historia o dwóch zasuszonych kawalerach na warszawskim bruku (z dwoma drzeworytami) ciąg dalszy. — Zadanie konikowe i rebus.

Karol Szajnocha.

Szajnocha należy do liczby naszych dzisiaj najwięcej wziętych, najczęściej zdolnych pisarzy. Na to jego prawo do szacunku publicznego złożył się talent poetyczny znakomity i zasób niepospolitej erudycyi, które stworzyły tyle dzieł pięknych.

Szajnocha urodził się w r. 1818 na Rusi Czerwonnej, w okolicach Sambora, ma więc dzisiaj lat około 42. Początkowe nauki pobierał w rodzinnym miejscu, późniejsze we Lwowie, gdzie w roku 1835 ukończył swoją elementarną edukacyą. Reszty czego mu brakowało, dopełniła mozolna, krwawa praca nad sobą, bodaj czy nie najważniejsza w każdym naukowym kształceniu się. Dobrze jest zapewne kiedy nauczyciel, zwłaszcza uniwersytecki, pokaże drogę; ale żadna szkoła nie daje nauk, i dopiero zdolność, w połączeniu z pracą, tworzą intelligencyę naukową i literacką.

Szajnocha, jak każdy młody a zdolny, prędko się zrywał do pióra, lubo sam jeszcze nie wiedział gdzie się ma zwrócić, czy do tworzenia poetyckiego, czy do badań seryo naukowych. Zaczął pisywać do Dziennika Mód Kulczyckiego. Ów Dziennik Mód, pomimo swego tytułu, było to pismo poważne, literackie, które chronić się tylko musiało pod ramki lekkości i elegancyi. W roku 1840 wydrukował w niem powiastkę „Romans na własne oczy widziany.“ Zdolności tam były widoczne, i odtąd Szajnocha występuje w rzędzie młodych literatów lwowskich. Ciekawo jest wrażenie, jakiego doznał Pol, spotkawszy raz Szajnochę u marszałka Wasilewskiego we Lwowie. Pol odbywał wtedy podróż po Galicyi, a wrażenia z tego co widział i słyszał, opisywał w listach do przyjaciół, które potem wydrukowało jedno z pism poznańskich. Pol studiował Szajnochę. Widział tedy, że już przeszedł w młodym pisarzu czas negacyi duchowej i że organiczną myśl przenosić już zaczynał na obszary historii powszechniej: świecące punkta w historii przemieniał na pojęcia, a pojęciami liczył ściśle, jak cyframi. Szajnocha czytał Polowi jedną z rozpraw swoich, a zawarł w niej moc widoków ogólnych, rozumowań i stosowań filozoficznych. Poecie to się oczywiście nie zdało. Pismo to, mówił autorowi, za-

wczesne jest dla nas; faktów nie znamy, a już chcemy z nich wyciągać wnioski, które oczywiście w takim razie muszą być dowolne i w niczem nauki niepoprą. Wpływ pewien wywierał także na Szajnochę Dobrzański, jeden z młodych literatów lwowskich i współredaktor Dziennika Kulczyckiego. Człowiek to był zdolny, ale zbyt paradoksalny. Pol wyraził nadzieję, że obaj przyjaciele zmienią rychło swoje widoki, dojrzawszy cokolwiek; bo dotąd, jak widział, umysł ich rozstrzelał się jeszcze na wsze strony i nie był ustalony jak należało, co zresztą dziwić nie powinno było Pola.

W roku 1843 Szajnocha zaczął pracować przy Gazecie Lwowskiej; pisał recenzye teatralne i różne drobne artykułiki, które pomieszczano w oddziale „Nowy Kąpiel“.



KAROL SZAJNOCHA.

win.“ Nazwisko jego wtedy stało się głośnie, z powodu tragedyi „Stasio“, jaką napisał w czterech aktach prozą i wydrukował zaraz w piśmie zbiorowym „Golańb’ pożaru.“ Jednocześnie przedstawiono tę tragedyę na scenie lwowskiej 8 czerwca 1843 r. Stasionieżywką obudził polemikę. Leszek Borkowski i August Bielowski w artykułach swoich, drukowanych w „Dzienniku Mód“, potępili tragedyę. Gazeta Lwowska za to bezwzględnie ją chwaliła i kruszyła kopie z krytykami. Orędownik Poznański wniósł się do walki i chwalił rzecz, echo zaś, które zaleciało do Warszawy ze Lwowa i ozwało się w „Bibliotece Warszawskiej“, ganiło Stasia. Praca ta w każdym razie ukazała literaturze nowy talent niepospolitego pisarza, który mógł się i powinien był z czasem wyrobić. Dlatego słusznie

ci, co w Stasiu widzieli próbę sił pisarskich i nic więcej, odzywali się ze współczuciem o Szajnosze.

Nie ustając w usiłowniach swoich, młody poeta w r. 1846 napisał nową tragedyę w 5ciu aktach „Zonię“, a w r. 1847 wierszem dwa dramata, „Panicz i Dziewczyna“ i „Wojewodzianka Sandomierska.“ Do Panicza i Dziewczyny Kornel Ujejski napisał epilog. Wojewodzianka Sandomierska, jak tego łatwo domyśleć się można, przedstawia udratyzowane dzieje sławnej piękności Maryny Mniszchówny, która na tron rossyjski wstąpiła. Przedmiot to bardzo poetyczny i wdzięczny widać, bo zajmował wielu poetów i powieściopisarzy. Dramata te jednakże, równie jak jeszcze kilka innych, które z tego czasu autorstwa Szajnochy pochodzą, nie widziały dotąd światła dziennego; dzisiaj dopiero Karol Wildt, księgarz lwowski, obiecuje wydać „Wojewodziankę.“

W roku 1847 Szajnocha wyszedł z Gazety Lwowskiej i wziął się do redakcyi pisma literackiego p. t. „Tygodnik Polski.“ Jednocześnie, kiedy za wpływem Pola zreformowało się „Czasopismo Biblioteki Ossolińskich“, i wezwano do niego młodych a mniej wtedy znanych pisarzy, Szajnocha stanął jednym z najpierwszych do pracy szlachetnej. W czasopiśmie tém widać, jak umysł jego się rozstrzelał widocznie w dwóch kierunkach. Z poezyą zerwać nie może, bo wszystko go ku niej ciągnie, a najwięcej sama natura talentu; ale już widać w pracach jego zwrot poważny, naukowy, chociaż zawsze ekscentryczny i paradoksalny. Obok scen z dramatów swoich, Szajnocha drukuje w „Czasopiśmie“ rozprawy historyczne. Obok scen o Marynie Mniszchówny z Wojewodzianki i drugich scen z Panicza i Dziewczyny, obok aktu pierwszego nowego dramatu, który tu poznajemy, a w którym poeta chce oczyścić pamięć Jerzego Lubomirskiego, stają takie artykuły, jak: „Pogląd na ogół dziejów Polski, Obyczaje pierwotnych Słowian, Literatura czasowa w Polsce.“ Poeta wysokiego polotu, ale historyk nieostrożny, ma Szajnocha talent do systematyzowania; więc też nie ogląda się na prawdę, nie studjuje seryo przeszłości, ale do przywidzeń swoich, powziętych a priori, stosuje, naciąga fakta. Tak w owym „Poglądzie na ogół dziejów Polski“ dowodzi, że cała historia słowiańszczyzny jest odbiciem się wypadków, które poprzednio zaszły w Europie. Autor dzieje na doby pewne rozbija i wskazuje pewien postęp myśli; rozwojem ludzkości kieruje u niego Opatrzność, która w dozach homeopatycznych udziela światu lekarstwa na postęp. Ale postęp ten rozpoczyna się na Zachodzie w jednej dobie i przechodzi na Wschód w drugiej, tak iż Zachód zawsze o dobę jest przed Wschodem. W ostatniej dobie głównie rozwijała się na Zachodzie idea monarchiczna, aż do rewolucyi francuzkiej; potem zaś, kiedy tam inna idea weszła w życie, idea monarchiczna prze-

szła na Wschód słowiański i do Polski. Gdy się nowa dzisiejsza idea zestarzeje na Zachodzie, przędzie do nas, ustąpiwszy tam miejsca innej i t. d. Ale są to wszystko marzenia, ogólniki naukowe, nie filozofia dziejów.

W roku 1848 Szajnocha zaczął wydawać dzieła osobno, ale już się wtedy stanowczo przerzucił na stronę nauki. Z utworów poetycznych dwa tylko wydał w tym nowym okresie swojego publicznego zawodu, to jest śliczny poemacik wierszem: „Jan III w tumie św. Szczepana“ (Lwów 1848 nakład Szlachetkowskiego) i „Jerzy Lubomirski“, dramat historyczny w 4ch aktach (Lwów 1850 druk E. Winiarza w 8ce stron 114 V i XX przedmowy; nakład Wildta). Zato moc jest utworów historycznych jego z tej epoki, jakoto: Pierwsze odrodzenie się Polski od roku 1299—1333, Bolesław Chrobry, Szkice historyczne, Jadwiga i Jagiello, Lechicki początek Polski. Świeżo dochodzą nas wieści, że dla spółki wydawniczej żytomierskiej pisze „Opowiadania o rodzinie Sobieskich.“

W tym przeciągu czasu podawany był w roku 1850 na profesora historii powszechniej w uniwersytecie krakowskim. Współzawodnikami jego byli: Ropelewski z Paryża i Kulawski profesor gimnazjum krakowskiego. Nie dostał z nich żaden tej posady dlatego, że rząd austriacki chciał wynagrodzić pana Antoniego Walewskiego.

Wziął za to Szajnocha zaszczytną w owych czasach posadę kustosa zakładu naukowego Ossolińskich w roku 1853. Że zaś fundusze zakładu znacznie wtedy były obdłużone, przeto uczony nasz pobierał pensją tylko skryptora. Na rok przedtém objął redakcją główną nowego pisma „Dziennik literacki“, które budziło życie naukowe w obumarłym Lwowie. Rok było tej redakcyi; bo gdy przeszedł na urzędnika zakładu, porzucił Dziennik i po nowym roku 1853 jeszcze się tylko przez cały styczeń podpisywał jako redaktor główny, ustępując miejsca Felicyanowi Łobeskiemu.

Zakładowi Ossolińskich niezmiernie był pomocny. Już to najprzód samo nazwisko Szajnochy, zacne a dobrze w kraju zasłużone, było chlubą dla zakładu, któremu w istocie naród mógł być wdzięczny, że umiał dobrać ludzi. Szajnocha zaczął spisywać katalog dzieł polskich w bibliotece i w ciągu roku 1853—4 znacznie posunął tę pracę. Dalej prowadził korektę drugiego wydania słownika Lindego, z rzadką sumiennoscia; prostował albowiem w tym słowniku wiele miejsc błędnych, poprawiał pomyłki. Praca ta, niesłychanie znużająca, zepsuła do szczytu znakomicie osłabiony już dawniej wzrok Szajnochy. Spowodowało to nawet jego podróż do Ostendy, która nic nie pomogła. Mimo to objął jeszcze redakcją „Rozmaitości“ przy Gazecie Lwowskiej i kierował nią przez dwa lata 1856—7. Ożenił się właśnie w październiku 1856 z młodą osobą, Bielińską z domu, którą pokochał za wdzięki i dobre serce, nie za majątek. Żona była mu wśród kalclectwa aniołem pociechy i sekretarzem, kiedy wrócił z Ostendy i prawie już zaniewidział. To stało się powodem, że wziął uwolnienie z zakładu naukowego Ossolińskich w r. 1857 i dzisiaj mieszka zupełnie prywatnie, nie mieszając się do żadnych pism i stowarzyszeń. Leczy się ciągle na oczy, na które prawie już nic nie widzi. Ma jedyną syna.

(Dokończenie w następnym numerze.)

Kronika tygodniowa.

Wdzieram się dziś w atrybucyę kolegi mojego, piszącego kronikę zagraniczną, ażeby poświęcić kilka słów wspomnieniu wydawcy i redaktora głównego Illustracji francuzkiej, p. Paulin, który kilka dni temu zszedł z tego świata. Jego to nieustannym staraniom drzeworytnictwo francuzkie zawdzięcza głównie świetny stan w jakim się znajduje obecnie. Pan Paulin, mając znaczny udział w wydawnictwie dotychczas może jeszcze najpopularniejszych pism ilustrowanych, „Illustracji“ i „Magazynu Malowniczego“ (Magasin Pittoresque) umiejętnością w wyborze, zachętą i energicznym poparciem, potrafił wydobyć na jaw mnóstwo znakomych talentów rysowniczych i wykształcić drzeworytników, którzy obecnie niezaprzeczenie pierwsze miejsce w Europie zajmują. Przez długi czas był on prawie jedynym, a przynajmniej naj-

znaczniejszym wydawcą publikacji tego rodzaju. W ostatnich czasach mnóstwo mu przybyło współzawodników, zawsze on jednak jaśniał na ich czele, przodkując wszystkim starannością redakcyi, umiejętnością w wyborze przedmiotów, i popularnością jaką pismo jego wyrobić sobie potrafiło nietylko we Francyi, ale w całym niemal świecie ucywilizowanym.

Już to i we Francyi znajdują się czasem niezłe rzeczy, choć mówię to na przekór wszystkim niemal naszym korespondentom dziennikarskim z Paryża, którzy od pewnego czasu wzięli sobie za hasło od czci i od wiary odsądzać tych biednych Francuzów i deptać spróchniałą cywilizacją zachodnią. W tej nibyto ucywilizowanej Francyi, wołają oni, niema już moralności, niema literatury; sztuka poszła na fałszywe drogi, a w sercach brak jest wszelkiej wiary w to co czcigodne i święte. Giełda i aźioterstwo zaległy tam wszystko, a przy tém martwem morzu, które zowiemy Paryżem, rosną tylko owe owoce piękne z pozoru, a we wnętrzu swoim popiół zawierające. Miły Boże! raczże nam pobłogosławić takimi popiołami, jak Akademia paryzka, jak ów zapał do wszystkiego co dobre i piękne, żyjący ciągle w ludzkiej wiecznie młodym; jak nareszcie owi historycy, krytycy, filozofowie, uczeni i literaci, których słowo obiega świat cały i wszędzie ze czcią jest powtarzane! Daj nam Boże tak piękną jesień, a rzeczę że nie będziemy naszej wiosny żałować.

Ale co nam tam bronić Francuzów; raczże zwrócić uwagę na to, co o nas bliżsi sąsiedzi Niemcy piszą, a znajdziemy najczystsze wyrażenie tej ich opinii o nas w artykule wiernie przetłumaczonym z niemieckiego, a zamieszczonym w gazecie Warszawskiej, w przeglądzie literatury obcej.

Już to trzeba przyznać, że nie ze szczególnego stanowiska Niemcy zapatrują się na nas, chociaż niestety jest tam i trochę prawdy, szczególnie w opisanii wsi, chałup polskich, uprawy pól i t. p. Ale stosunek włościan i panów, ale życie ich, jakimiś czarnymi a przesadzonemi do niepoznania nakreślone farbami. Między innemi twierdzą oni że w całej Polsce jest tylko jeden *znośny dom mieszkalny wiejski*, w Wilanowie, własności hrabiów Augustów Potockich, a i to tak się dziwnie wydaje Polakom, że ciągle liczne odprawiają pielgrzymki, dla zwidzania tej osobliwości. Co do wysokiego stopnia na jakim stoją rolnictwo i przemysłowość niemiecka, oddajemy im pod tym względem sprawiedliwość, chociaż zaprawdę są rzeczy, w którychbyśmy ich wcale naśladować nie chcieli.

Jeden z naszych turystów zaręczał mi, że w podróży swojej po Niemczech widział człowieka kierującego plugiem, w którym szły razem wprzęgnięte krowa i kobieta (*). Jeżeli więc tego rodzaju ulepszenia rolne radzi nam zaprowadzić autor artykułu ogospodarstwie naszym, to wyznajemy szczerze, że wolimy się obyć bez nich. W każdym razie głośne zacytowanie tego rodzaju faktów mogłoby przekonać panów sąsiadów naszych, że odpowiadając tylko prawdą na zadane nam fałszywe, znajdujemy jeszcze dość silne przeciw nim argumenta, i że obejdziemy się bez tych przybyszów, ulepszających nasze gospodarstwa, niezawsze niestety w korzystny dla nas sposób.

Wygadujemy na świat nasz materyalny, giełdowy, rachunkowy, prozaiczny; wołamy że znikły poświęcenia, że miłość nie istnieje już, a przeniosła się do hypotek i do skrzyń napełnionych pieniędzmi. A ta miłość, ukryta za śnieżną matki swojej szatą, śmieje się złośliwie i drwi z ludzi, którzy sądzą że się z pod jej panowania wydobyli. I to jak naraz Warszawie właśnie dano stawić niezbite dowody tego panowania sercowych katuszy. Przed rokiem gazety donosiły o pewnym subjeckie perukarskim, który otrął się z miłości, spożywszy jedną z pomad używanych do rośnięcia włosów (co nie na zaletę tych pomad zdaje się przemawiać). Dziś znowu inny tego rodzaju wypadek zanotować wypada; w bliskości bowiem cmentarza świętokrzyskiego, niejaki G** odebrał sobie życie wystrzałem z pistoletu, a śmierć jego również cierpieniem sercowym przypisują. Gdyby powieściopisarz poważał się podobną postać wprowadzić obecnie na scenę życia, powiedziano mu wręcz że kłamie, albo przynajmniej przesadza. Ale rozpatrzmy się tylko dobrze w tém życiu, a poznamy że tak jak niema nic nowego pod słońcem, tak też i nic się nie starzeje, i zawsze znajdzie

(*) Fakt ten jest najzupełniej prawdziwym, możemy nawet w razie potrzeby wymienić nazwisko podróżnika i okolicy.

się pomiędzy ludźmi jednaka summa poświęceń, udreżeń i szczęścia, tylko stosownie do danej epoki wszystko to z warstwy do warstwy się przenosi.

Zapowiadają nam także widowisko na ubogich w sali Dobroczyńności, z tém jednakże nadmienieniem, że jedna ze sztuk odegraną będzie po francuzku. Nie licząc już tego, że bez względu na wprawę językową, sztuki po francuzku daleko jest trudniej przedstawiać, aniżeli po polsku, z powodu zupełnie odmiennego wyrobienia dramatycznego, trzeba jeszcze dodać, że u nas wprawdzie bardzo wiele osób *mówi* po francuzku, mało kto jednak zna dokładnie ten język. Aż przykro było słuchać, jak na niektórych tego rodzaju przedstawieniach kalęczono mowę Rasyana i Molièra. Już nibyto u dobrze mówiących ani podobieństwo rozróżnić czasu przyszłego od warunkowego, a brzmienie *e* i *i* to jak Bóg da, jak się uda.

Chciałbym wam donieść o jakich nowościach teatralnych, ale dalibóg trudno tu o czém pisać. Bo „Kozioł, czyli winni i niewinni“, który w przeszłym tygodniu wygrzebany został z pyłu zapomnienia dla niepożytku sceny, nie jest wcale pojętnym dla Warszawian widowiskiem. Można by śmiało zostawić w kącie niektóre „starożytności“, co wcale nie były pożądanymi, w całym blasku swej nowości nawet, zamiast galwanizowania ich na własną ich szkodę, a nudy nasze. Należy się tu jednak kilka słów wzmianki o panie Świergockiej, młodzieńczej artystce z miłą bardzo powierzchownością, a przyjemnym głosem, która w naiwnych rolkach zdaje się dobry dla teatru zapowiadać nabytek. Uczenie się tyle razy zapowiedzianych komedij oryginalnych odwleczono znowu, a to dlatego że jedni są chorzy, drugim znowu, jak panu Żółkowskiemu, tej najpożądaniej podporze komedii naszej, naznaczono role w operach, które zabierają cały czas jego i pracę. Wierzmy mocno że pan Żółkowski wszędzie i na każdym polu zdolny jest zapewnić powodzenie sztuce w której występuje, ale poważamy się twierdzić że komedye daleko więcej potrzebują jego współudziału aniżeli opery. Pan Żółkowski jest właściwie artystą dramatycznym, a nie śpiewakiem; tych zaś ostatnich posiadamy dostateczną liczbę i każda opera może być u nas dokładnie obsadzona, bez nakładania haraczu na teatr Rozmaitości, który Bogiem a prawdą najwięcej się przyczynia do dobra naszej sceny, a najskąpsze ku temu posiada zasoby. Toż samo co mówiliśmy o panu Żółkowskiem, można by powiedzieć i o pani Bakałowiczowej. Nauczenie się nowej opery trwa najmnij trzy miesiące, czas artystów mających do niej wchodzić zajęty jest bezprzerwanymi próbami, komedya zaś cierpi na tém i musi się ratować odgrzebywaniem wcale niepojętnych utworów. Muzyka dobra nie potrzebuje wsparcia wyborowych artystów dramatycznych, dostatecznie ona przemawia za sobą przez usta zwykłych swoich tłumaczy, w przeciwnym zaś razie nawet gra pana Żółkowskiego nie potrafi zapewnić poparcia operze, która jedynie nią ratowałyby się pragnęła.

Pan Apollinary Kątski powrócił już ze swojej artystycznej wycieczki. Nie zaniedbał on przez ten czas starań, celem zebrania funduszy na instytut muzyczny warszawski, którego przyszły wzrost tak mu leży na sercu. Fundusze te znacznie już wzrosły, a i stypendyów nabierało się nieco. Tak to dobra wola i czynność wiele mogą w najtrudniejszych nawet przedsięwzięciach.

Należy nam się także tu wspomnieć o fakcie znamionującym szczerą chęć kształcenia się. W kółku czysto prywatnym, złożonym po większej części z młodych ludzi oddających się literaturze i sztukom, pan professor Aleksandrowicz rozpoczął od pewnego czasu wykład botaniki, obznajmiając słuchaczy w sposób dostępny a dokładny, z wszelkimi postępami, jakie ta piękna nauka dotychczas uczyniła. Cieszy nas niezwykle zajęcie i uwaga jakie wzbudzają odczyty uczonego profesora, tém bardziej, że jest to niejako poparciem podobnego rodzaju objawów, które mieliśmy sposobność zauważyć podczas prelekcij w Akademii Medycznej publicznie wykładanych.

Znany rytownik, p. Lewicki, bawi obecnie w Warszawie. Widzieliśmy w tych dniach kilka tablic z jego albumu malowniczego, w którym zamierza on pomieścić całe pamiętniki Paska. Jestto dzieło przynoszące mu zaszczyt, jako pomysł i wykonanie. Kilkanaście arkuszy tej pracy, w formacie wielkiego *folio*, wyszło przed dziesięć laty; dziś w pysznie rytowanym i przystępnym ceną wydaniu reszta ma być dopełnioną.

Mówią o nowej kombinacji literackiej, mającej wejść w skład jednego z pism peryodycznych tutaj wychodzących. Zmiana ta wejdzie w wykonanie zapewne dopiero od Nowego roku. Wspomnieliśmy także wypadła o nowym dziełku pod tytułem „Katechizm czyli elementarz dla dziewcząt wiejskich,” napisanym przez p. Sewerynę z Żochowskich Pruszkową, jako o dopełnieniu podobnego, katechizmu dla chłopców wiejskich, dawniej już przez pana Gregorowicza, z właściwą jemu jasnością wykładu i moralnością treści, napisanego. Są to bardzo pożądane publikacje i nader użyteczne w danym zakresie. Słyszeliśmy że jeden z autorów tutejszych zajmuje się pisaniem przystępnego wykładu literatury, inny znowu ma zamiar wydać poetykę, oznaczając stanowczo reguły budowy wiersza w języku polskim, co dotąd częściowo tylko miało miejsce. Słyszeliśmy także o wydawaniu rocznika teatralnego, ale już przeszłego roku tenże sam zamiar spełził na niczym. A jednak kilkanaście lat temu, wychodziły w Warszawie podobne roczniki teatralne, i utrzymywały się jakoś. Bardzo pożądaną byłaby dokładna wiadomość o wszystkich zasobach dramatycznych, znajdujących się na całym obszarze kraju naszego.

To mi przypomina o korespondencji, jaką otrzymaliśmy w tych dniach z jednego z tutejszych miast powiatowych. W tym miasteczku bawi od kilku tygodni prowincjonalne towarzystwo widowisk dramatycznych, pod przewodnictwem antreprenera, który czasem wpada na rzeczywiście genialne pomysły, żeby zwabić do siebie publiczność. Zamierzamy już o wszystkich podziemiach, zbójcach, czarach i upiorach, które się przerzucały na tamecznej scenie, na wielką pociechę mieszczan zapalonych do tej romantycznej szkoły. Ale niedawno antreprenier ogłasza nowy spektakl „Olimp w miasteczku N*,” sztuka wyłącznie dla mieszkańców tego miasta utworzona i im dedykowana. Jak łatwo się domyślić, publiczność zebrała się tłumnie. Przy podniesieniu kurtyny, Jowisz, ozdobiony śliczną białą brodą, wygląda z obłoków przez okienko, umyślnie na ten cel urządzone i ma mowę do mieszkańców w tych wyrazach:

„O ludności miasteczka N*! Oddawna spoglądam na ciebie z tronu mego i cieszę się tobą. Posiadasz śliczne domy na urząd zbudowane, i rynek obszerny, w części nawet zabrukowany, i obywateli szlacheckich, obywatelki piękne, i serca współczujące dla sztuki, i dwa zakłady rzeźnicze, i jeden nawet cukierniczy. Brak ci jeszcze wprowadzić porządną latarni do oświetlenia miasta, ale i w te nawet będziesz wkrótce opatrzoną, z łaski wielmożnego naczelnika powiatu, który obiecał pierwsze przedstawienie w tym przedmiocie uczynić do rządu gubernialnego.“

Można sobie wystawić z jakim zapalem przyjętą została przez mieszkańców ta mocya, tak zrecznie z Olimpu przez Jowisza wygłoszona. I niechaj kto tu teraz osmieli się dowodzić, że teatr niema wpływu na oświecenie!

SPRAWOZDANIE

Z POSTĘPU NAUK PRZYRODZONYCH, PRZEMYSŁU I WYNAŁAZKÓW.

Jak ludzie, tak i wynalazki które wiek swój zbyt wcześnie wyprzedziły, zwykle, dotąd przynajmniej, nie były należycie pojmowanymi; potomność dopiero oddaje sprawiedliwość wielkim ludziom, wielkim wynalazkom. Często nawet potomność dopiero, w korzystniejszych warunkach nauki i jej praktycznego rozwinięcia, albo na nowo zupełnie trafia na dawniej już odkryte ale nieużyte kombinacje, albo je z zapomnienia wygrzebuje.

O odkryciu telegrafów elektro-magnetycznych we Francji, jeszcze za czasów konsulatu, przez niejakiego Alexandre, wspomnieliśmy niedawno w „Kronice zagranicznej.“

Tak samo użycie elektryczności jako siły poruszającej, mającej zastąpić kosztowną parę, dotąd czeka rozwiązania, i pomimo gorliwych prac Anglików i Francuzów, a hojnego wsparcia rządu, zaledwie zaczyna niepewnie stawiać kroki na drodze do rzeczywistego zastosowania. I u nas przed laty dwudziestą, jeden z myślących fizyków miał już zupełnie ułożoną lokomotywę elektro-magnetyczną, której tylko dla braku

może kilkunastu rubli nie mógł choć na małą skalę do praktycznego użycia urządzić, i wielki swój wynalazek poniósł do grobu.

Daleko pomyślniej występuje elektryczność na innej drodze, to jest w utworzeniu potężnego światła, które chyba przed jednym słońcem, i to w południe przy dniu pogodnym, ustąpić będzie musiało. Długie niepowodzenia, mechaniczne przeszkody, mianowicie zaś trudność utrzymania jednostajności działania, zniechęcały praktyków, a teoretykom kazały prawie zrzec się zastosowania zasady przez naukę objawionej; ale wytrwałość i tu odniosła zwycięstwo, a ostatnie próby, wykonywane w zakładzie centralnym w Chaillot, z zastosowaniem tego światła elektrycznego do latarni morskich, tak świetne dały wypadki, że kommissya do oceny ich ustanowiona, wniosła, iżby rząd francuzki wezwał inne rządy państw morskich, aby aparaty fotoelektryczne zostały zaprowadzone nietylko w latarniach morskich, ale i na wszystkich większych paropływach, co raz na zawsze usunęłoby wszelkie podobieństwo zetknięcia się dwóch statków, prawie zawsze w skutkach tak okropnego.

Zanim jednak elektryczność, jako motor, użytą zostanie w lokomotywach, statkach parowych i fabrykach, para, chociaż kosztowna ze względu na kwestyę paliwa, może wyświadczyć w danych i to ważnych wypadkach nader zbawienne usługi. Wielokrotne doświadczenia, z razu przypadkowe, obecnie zaś umyślnie przedsiębrane, wykazały, że para wodna potężnym jest środkiem gaszenia pożarów. Doktor Dujardin, jeszcze w roku 1837, środek ten przedstawił akademii nauk w Paryżu, która *a priori* myśl jego uznała niewłaściwą i zagrzebała ją w swoich archiwach; ale dzięki drukowi, myśl ta obiegła dzienniki i utkwiała tu i owdzie w pamięci klas robotniczych, tam przynajmniej, gdzie one zajmują się naukami, mającymi związek z ich powołaniem. W ostatnich znowu czasach dzienniki, donosząc o kilku wypadkach pożaru w fabrykach lub na statkach parowych, przypisują szczęśliwe ich ugaszenie puszczeniu pary z kotła maszyny (co zawsze wykonywane było z własnego natchnienia przez któregoś z robotników przy maszynie). Wypadki te wznowiły myśl Dujardin'a, która tym razem poparta doświadczeniami, prędzej bez wątpienia wyrobi sobie powszechne uznanie.

W szeregu mniej powszechnych, a ważnego użytku wynalazków, wspominamy tu o odkrytym przez p. Fioravanti de Arcoli środku zamieniania gipsu w marmur. Wynalazek ten w ozdobnej architekturze bardzo będzie użyteczny, zwłaszcza gdy w zastosowaniu pokaże się, że ten wyrób wyrówna i trwałością marmurowi.

Bardzo blizkim poprzedniego i w pomoc mu iść mogącym, jest wynalazek zdejmowania form z rzeźby, za pomocą mieszaniny trocin drzewnych, fosforanu wapna i kleju, która się penzlem naprowadza na przedmiot mający być odmodelowanym. Po kilkakrotnym naprowadzeniu i wyschnięciu, zdejmuje się utworzona tym sposobem powłoka, naturalnie będąca ścisłym odwzorowaniem modelu, tak sprężysta a jednak mocna, że może służyć do odlewu gipsowego, zamiast dotychczasowych form gipsowych, stearynowych i t. p. Do zdejmowania form z rzeźb wielkich rozmiarów, sposób ten przedstawia niepoślednie zalety, pod względem łatwości roboty i lekkości otrzymanej formy.

Zakończymy na dziś sprawozdanie nasze kilkoma sekcjami gospodarskimi, świeżo odkrytymi. Smakosze całej Europy uznali oddawna, że najsmaczniejszych ryb dostarcza Holandia; dlaczego, to było pytanie, które obecnie rozwiązano. Hollendrzy mają zwyczaj złowione ryby, choćby przy najobfitszym połowie, natychmiast zabijać, przez małe nacięcia wykonywane w bliskości ogona, i to nadaje im ów smak wykwentny, który tracą, jeżeli, jak to powszechnie jest w użyciu, po złowieniu dostają się w szczupłe naczynia, napełnione niezawsze nawet tą wodą, w jakiej żyły, w którym przeto powolnie konając, przechodzą jakoby rodzaj słabości, szkodliwie wpływającej na ich organizm i pozbawiającej je właściwego smaku.

Drugim interesującym sekretem jest tuczenie drobiu chrabaszczami. Dotychczas kaczki tylko jadały je bezkarnie, kury zaś trudy się niemi. Obecnie przekonano się, że chrabaszcz, ususzony i utłuczony na proszek, w pomieszaniu z chlebem i ziemniakami, nietylko kurom i kurczętom nie szkodzi, ale nawet tuczą je i nadają delikatny smak ich mięsu.

GMACH TOWARZYSTWA KREDYTOWEGO W WARSZAWIE.

Przystępując do opisu kształtów zewnętrznych nowego domu towarzystwa kredytowego, winniśmy najprzód zdać sobie sprawę z warunków, jakie w budowlach podobnego rodzaju uważamy za nieodzowne.

Gmach, który mieścić ma w sobie jedną z najważniejszych władz kraju rolniczego; gdzie zbierać się mają przedstawiciele tego stanu rolnego, co posiadają główne bogactwo kraju i najważniejszą pracę jego pełnią; gmach taki powinien nosić na sobie zarówno charakter powagi, jak i bogactwa. Tu więc miejsca mieć nie mogą żadne fantastyczne a ruchliwe kształty, które gdzieindziej różnaitością swoją nadawałyby powab i lekkość budowli; tu tylko powaga i spokój linii ciągłych może nadać charakter odpowiedni. Żaden bowiem, by najszcześniejszy podział gmachu na masy wyższe i niższe, nie jest w stanie zastąpić tej poważnej a pełnej siły prostoty, jaką mu linia nadaje. Wśród płaszczyzny jednolitej i linii, myśl nasza nie rozbiega się na szczegóły i nie pracuje nad utworzeniem z nich całości, lecz od razu całość ta staje przed nami taką, jaką ją zawsze, niezależnie od gry światła i otaczających przedmiotów, widzieć będziemy.

Ludziom nienawykłym do widoku gmachów wielkich i poważnych, więcej się zazwyczaj podoba ten właśnie podział gmachu na partye, co z każdą chwilą uderza ich nowym obrazem i z każdego punktu inaczey budowlę przedstawia. Lecz taka gra linii i kształtów, taki ruch budowli, miły wprawdzie dla oka, traci swoją wartość tam, gdzie nie staramy się o to żeby gmach poważny zalotnie wdzięczny się do patrzącego. Przeciwnie, pierwszorzędni mistrze budownictwa, czując całą wartość tej skromnej na pozór, a pięknej architektury, pozostawili nam w swoich dziełach liczne jej przykłady. Dość jest przypomnieć pałac kancelaryi w Rzymie, dzieło Bramantego, bibliotekę św. Marka w Wenecji, postawioną przez Sansoviniego, pałac prokuratoryi w Wenecji Scamozzowego, pałac Farnezyjski, na który Sangallo i Michał Anioł się złożyli, Versal pod Paryżem, będący dziełem Mansarda i mnóstwo innych gmachów, znanych powszechnie jako arcydzieła sztuki. Tam wszędzie linia ciągła, spokojna, nadaje gmachom tę powagę i niepożyta piękność, co się nigdy nie sprzyrzy i nie spowszednieje, bo nie opiera się na sztucznym effeicie.

Gmach towarzystwa kredytowego od strony zewnętrznej przedstawia jednostajną powierzchnią, nie podzieloną na żadne pionowe ani poziome partye, a główne wejście jego odróżnia się od innych otworów tylko kolumnadą, słabo przed linią frontu wystającą i zakończoną równo z parapetem okien pierwszego piętra tą samą balustradą, która się we wszystkich oknach powtarza.

Pod względem ogólnej myśli więc p. Marconi, twórca elewacji gmachu towarzystwa kredytowego, szczęśliwie pojął swoje zadanie.

Teraz z kolei przejdziemy do szczegółów budowli, z których artysta złożyć miał całość harmonijną i piękną. Bogactwo nie skupia się tu na pojedyncze punkta, które stanowiłyby sprzeczność z nagiemi płaszczyznami, nie szuka dla siebie uwydatnienia w tej sprzeczności, i nie rysuje się w myśli naszej pojedynczymi obrazkami ozdób, lecz rozlewa się równo po całej powierzchni gmachu i sprawia w nas to wrażenie całości, które nie prowadzi do wyszukiwania oddzielnych ornamentów i nie zatrzymuje zbyt wiele uwagi na szczegółach. Użycie porządku korynckiego na wszystkich piętrach bardzo w tym pomogło artyście. Obok pilastrów o lekkich kształtach, z bogatymi liściastymi kapitelami, nie dziwią nas żadne inne ozdoby i nie wydają się zbyt bogatymi. Szczęśliwie obmyślane rozmiary okien pozwoliły umieścić w pierwszym piętrze figury, które na cięższych otworach byłyby zbyt lekką ozdobą, a na lżejszych obarczyłyby zbyt wiele wysmukłe formy. Silne wysoki i wgłębienia tworzą tę grę światła, co na tle cienia uwydatnia oświecone części i całej budowli nadaje fizyognomię ożywioną.

W ogóle, w budowli tej wszystkie wysoki traktowane są śmiało, bez czego zniknęłyby na rozległej powierzchni frontu. Jeden tylko gzyms górny ma nieco za mały wysoki, stosunkowo do innych gzymsów i do ogólnej wysokości gmachu. Powodem tego była zapewne proporcya pilastrów, na których ten gzyms spoczywa, a które artysta obawiał się może zbyt ciężko obarczyć gzymsem stosowanym do całkowitej wyso-

kości budowli. Jedność stylu jest zresztą w całym gmachu do tego stopnia zachowaną, iż wszystkie ściany od strony dziedzińca zgodne są z głównym frontem pod względem myśli ogólnej, a tylko pozbawione tych ozdób, które front czynią bogatym. Proporcje otworów, pilastrów, nawet profile, utrzymane są wszędzie jednakowo, tak iż pomimo wielkiej różnicy co do ozdobności, wszystkie boki budowli łączą się w jedną całość.

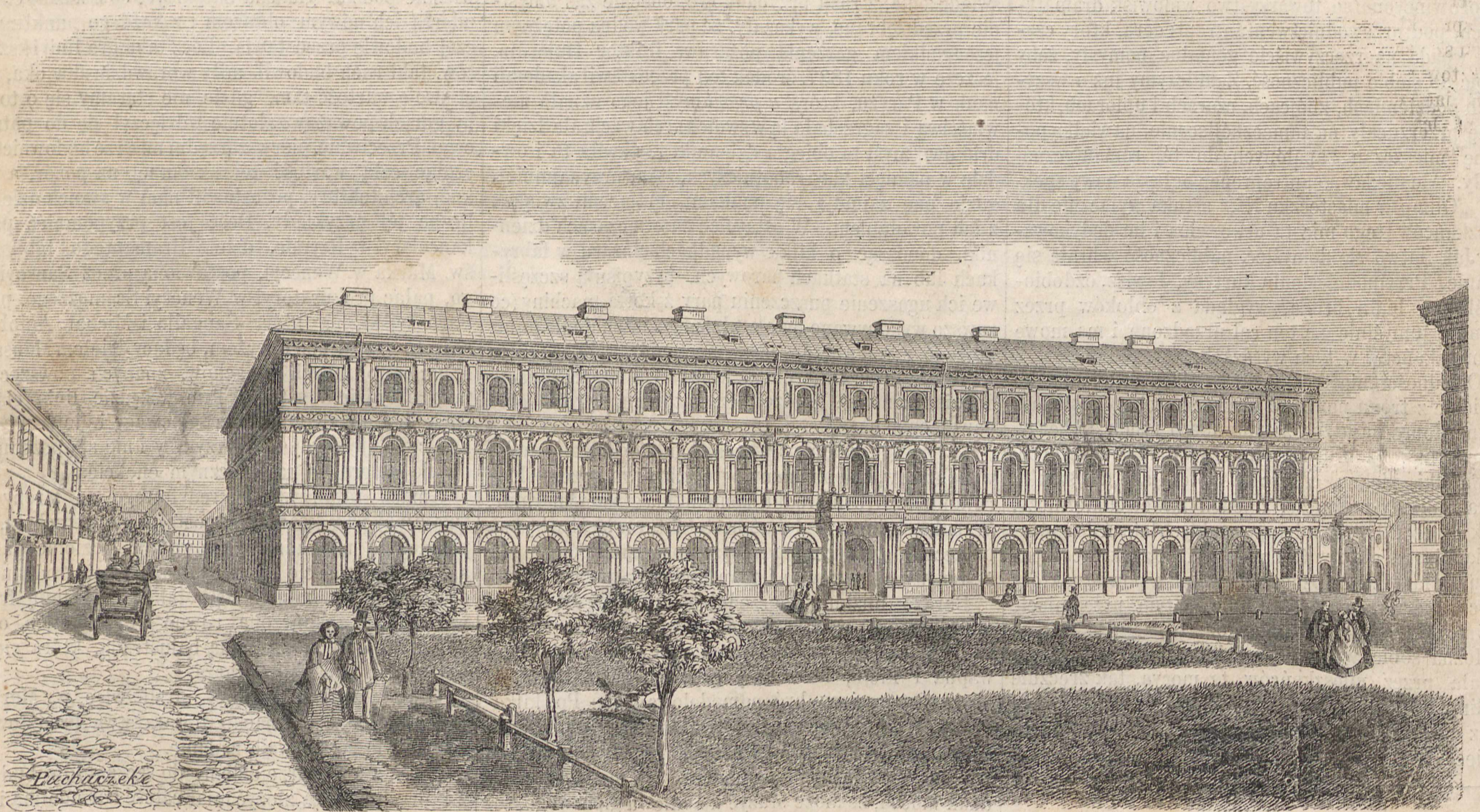
Na tém kończymy uwagi swoje co do zewnętrznej postaci gmachu, gdyż zdaje nam się zbyt szczerze rozpatrywanie każdego gzymsu i ozdoby; nie mieliśmy bowiem na celu cząstkowego studyowania drobiazgów, co byłoby bez wątpienia ważnym i pożytecznym dla ludzi fachowych, ale mniejby obchodziło ogół czytelników.

Powiedziawszy o zabudowaniu jakim jest teraz, wypada nam jeszcze wspomnieć o jego przeszłości. Stoi ono na miejscu gdzie przedtém był starożytny pałac o trzech piętrach, otoczony murem budowy włoskiej, znany w Warszawie pod nazwą Czerwonej kamienicy lub pałacu Czerwonego. Wystawił ten ostatni w roku 1685 ksiądz Michał Bartłomiej Tarło, wizytator zgromadzenia ks. misjonarzy, a następnie biskup poznański i warszawski, który będąc już biskupem, mieszkał w nim, nie przestając pełnić gorli-

cu. Urządzeniem mieszkania i odnowieniem budowli na przyjęcie posła zajmował się ówczesny architekt nadworny Dominik Merlini. W tym więc pałacu mieszkał ostatni poseł turecki w Warszawie, przy rządzie dawniej Rzeczypospolitej polskiej umocowany.

W roku 1782 z massy upadłej Oemchinowski przez licytacją w sądzie miasta Grzybowa, do którego ta strona Warszawy należała, nabył go od kredytorów Karol Schütz budowniczy, zaś od jego rodziny kupił w r. 1827 Józef hr. Krasieński, szambelan, później senator wojewoda, autor Przewodnika po królestwie w języku francuzkim, tudzież redaktor pisma peryodycznego pod tytułem „Piast“ czyli pamiętnik technologiczny, wydanego w 24 tomach. Hrabia należał do liczby najczynniejszych orędowników piśmiennictwa krajowego; starając się rozpowszechnić tanie wydania, założył w tymże pałacu pierwszą drukarnię stereotypową w Warszawie, i wydał w niej wiele książek polskich, po nadzwyczajnie niskiej cenie sprzedawanych. Tu wyszły dzieła Franciszka Karpińskiego, Psalterz Kochanowskiego, kilka romansów Walter-Scotta, najwięcej wtedy czytanych, elementarze i t. d. W roku 1830 całą posiadłość nabyła od niego gmina ewangelicko-augsburskiego wyznania i założyła w oficynach dom przytułku ubogich téż parafii; pałac zaś w większej części stał pustkami, które raziły oczy

lub ogrodów znakomitych rodzin Ossolińskich, Denhofów, Oborskich na nią wychodziły; grunt zaś gdzie teraz hotel angielski się wznosi, należał do naprzeciwległego pałacu Ossolińskich. Otóż w roku 1645 znany w dziejach krajowych Jerzy Ossoliński, kanclerz w. koronny, pan wielce o cześć Bożą gorliwy, sprowadziwszy zakonnice św. Klary, czyli tak nazwane karmelitanki bosc do Warszawy, właśnie w tém miejscu wystawił im tymczasowo kościół i klasztor drewniany pod wezwaniem św. Ducha, a przed aktami metryki koronnej, w r. 1648, zeznał zapis 30,000 ówczesnych złotych, przeznaczając je na wymurowanie tychże samych budynków z cegły. Atoli za ledwie fundamenta pod nie założono, nastąpiła wojna szwedzka, i szturm Warszawy, w czasie którego nietylko że rozpoczęte mury, ale i poprzedni kościół wraz z klaszturem z gruntu został zniszczony. Gdy zaś po skończeniu wojny panny karmelitanki przeniesiono do nowonabytego dla nich pałacu Kazanowskich, gdzie dziś gmach Towarzystwa dobroczynności, pozostały po nich grunt pusty sprzedał w r. 1666 Aleksander Michał na Wiśniczu Lubomirski, koniuszy koronny, zięć pierwotnego właściciela, Kaźmirzowi Kowalkowskiemu, sekretarzowi królewskiemu, pisarzowi skarbowemu, co dokładnie opisuje dokument w aktach stariej Warszawy przechowany, przytaczając historją



GMACH TOWARZYSTWA KREDYTOWEGO W WARSZAWIE.

wie obowiązków wizytatora. W tym celu kazał sobie zrobić przejście i przez ogród wchodził do kościoła św. Krzyża na nabożeństwo, oraz do swojej celi na pacierze lub narady zgromadzenia. Po śmierci ks. Tarły nabył tę posiadłość w roku 1717 Fryderyk Oemchin, dworzanin króla Augusta II, i odtąd téż zwała się pałacem Oemchinowskim; składała się zaś z głównej budowy o trzech piętrach, dwóch oficyn, stajeni ogrodu, który miał dwie wielkie altany. Opis tego pałacu znajduje się w dawnych aktach magistratu, z powodu iż w roku 1777 rząd ówczesny wynajął go od Franciszki z Oemchinów, żony Fryderyka Augusta de Weyrauch, pułkownika wojsk koronnych, na trzy miesiące, za 450 czerwonych złotych, na mieszkanie dla posła tureckiego, od 1go sierpnia do 1go listopada. Pierwsze piętro, całe umeblowane, oraz drugie i trzecie przeznaczone było na mieszkanie posła, a w jednej oficynie umieszczono hauptwach. Oprócz głównej stajni na 12 koni, w zabudowaniach na uboczu urządzony był szlachtuz. Do dwóch altan w ogrodzie, w zupełności także umeblowanych, wystawiono jeszcze jedną altanę dużą z desek na słupach, tuż przy oknie pierwszego piętra, w której poseł zwykle obluce odbywał. Dziedziniec był oświetlony latarniami, a oprócz wojska na hauptwachu, dwóch straży pilnowało pała-

przechodnia i były powodem do rozmaitych opowieści i legend, aż wreszcie w r. 1852 nabyty przez towarzystwo kredytowe ziemskie i rozebrany, ustąpił wspaniałej dzisiejszej budowli, ukończonej w r. 1856.

HOTEL ANGIELSKI.

Pisma nasze czasowe w tych dniach doniosły, iż dawna ta posiadłość w Warszawie d. 6 grudnia b. r. wystawioną będzie na publiczną licytacją. Być zatem może, iż nowonabywca, mając budowlę sposobną na wszelakie zmiany, inne jej nada przeznaczenie i zupełnie stan terażniejszy przeistoczy. Okoliczność ta zniwala nas do zachowania w rysunku postaci obecnego gmachu i skrócenia dziejów jego przeszłości, zwłaszcza gdy przeszłość ta, równie jak wszystkich znaczniejszych domów w naszym mieście, tak jest bogatą w historyczne wspomnienia.

W początkach XVII stulecia prowadziła tędy mała ulica, zwana Wązka lub Wyjazd, ku obszerniejszej nieco ulicy Ossolińskiej, która poczynając od pałacu tegoż nazwiska, będącego w tém miejscu gdzie dzisiejszy Bryłowski, aż ku Królewskiej się rozciągała. Była to uliczka pusta, niezabudowana, tylko boki pałaców

istnienia tutaj poprzednio kościoła i klasztoru karmelitanek, a nie dominikanek, jak mylnie podanie miejscowe utrzymuje.

Pan pisarz skarbowy, mając pod swoim zarządem w sąsiedztwie znaczny skład soli, zupą solną zwany, który stał na tém miejscu gdzie dziś gmach teatru Wielkiego, miał się z nią dobrze i wnet pobudował sobie tutaj dwór drewniany, obszerny i okazały. Nabył takowy od niego w r. 1672 Stefan z Wielkiego Chrzastowa Wierzbowski, biskup poznański, jeden z najgorliwszych pasterzy, założyciel wielu kościołów i zgromadzeń duchownych w kraju. Wierzbowski dwór drewniany zamienił na wspaniałą pałac murowany, od którego cała ulica odtąd najprzód nazwisko Wierzbowskiej, a następnie Wierzbowej otrzymała. W rok jednak potem, żarliwy w wznoszeniu świątyń Pańskich biskup, potrzebując pieniędzy na stawianie w Górze Kalwaryi kościoła, sprzedał swój pałac, grunta i ogród przy nim założony, księciu Michałowi Kaźmirzowi Radziwiłłowi, wojewodzie wileńskiemu, podkanclerzemu w. ks. litewskiego, sławnemu z poselstw za Jana III, mężowi wielce w naukach biegłemu, mianowicie w historii i matematyce. Przymtem oddawał się on z namiętnością i alchemii, a kiedy mieszkał w Warszawie, w tym pałacu urządził sobie

pracownię, w której pilnie szukał kamienia filozoficznego, z wielkim zgorzaniem i postrachem swoich sąsiadów.

W roku 1689, po śmierci ojca, syn jego, książę Karol Radziwiłł, koniuszy w. ks. lit., który potem był kanclerzem litewskim, pałac ten odstąpił Zygmuntovi Denhofowi, podkomorzemu ziemi wieluńskiej, jednemu z najbogatszych ówczesnych panów polskich, a przez matkę z Radziwiłłami spowinowacemu. W lat dziesięć potem, w spadku familijnym przeszedł do Józefa Słuski, kasztelana wileńskiego, hetmana polnego litewskiego, znakomitego wojownika w wyprawach wiedeńskiej i chocimskiej; zaś w roku 1732 tą samą drogą już należał do rodziny książąt Sanguszków. Mieszkał w nim długo Janusz książę Sanguszko, marszałek nadworny w. ks. litewskiego, głośny ze swoich zbytków, o których sprawkach tyle ciekawych szczegółów opowiada Kitowicz; ale w r. 1756,

unikając niemiłego mu sąsiedztwa, zbył go Henrykowi hr. na Ocieszynie Brühlowi, wszechwładnemu ministrowi króla Augusta III. Brühl dawną budowlę rozebrał, a nowy na to miejsce pałac, jednocześnie prawie z terazniejszą pałacem brylowskim, podług planów tegoż samego architekta, wystawił, i takowy we dwa lata potem darował Eustachemu Potockiemu, cześnikowi

maż stanu, w podziale ten pałac otrzymał, sprzedał go w r. 1783 Józefowi Kwiecińskiemu, mieszczaninowi warszawskiemu, który pracą i oszczędnością od małego poczynając, dorobił się znacznego majątku. Była to w swoim rodzaju osobliwsza figura, ten Kwieciński. Wożenie piasku i cegły do gmachów wznoszących się

wy, a bankierzy tutejsi nieraz z nim ważne czynności odbywali. Jemu to winien kościół bernardyński ukończenie terazniejszej swojej facyaty, do której wzniesienia przyczynił się dość szczególnym sposobem. Kiedy bowiem w r. 1783 oo. bernardyni, zebrawszy z jałmużny 20,000 złp., umyślili reperacją mocno uszkodzonej dawniej facyaty, do

czego plan wygotował Piotr Aigner budowniczy, w czasie budowania fundusz okazał się za mały i gdy nawet zebrane ze składek summy przez Stanisława Potockiego nie były także wystarczające, robotę więc zaczęta przerwać musiano. Ściągnęło to uwagę króla Stanisława Augusta, dbającego wielce o upiększenie stolicy. Wtém ktoś wspomniął monarsze o Kwiecińskim, jako o bogatym obywatelu Mariensztadu, który był wtedy syndykiem bernardyńskim i bardzo przywiązanym do tego kościoła. Kazał go tedy wezwać do siebie, a jako wymowny monarcha w ten sposób, podług ów-

czesnej relacji naoczego świadka, zniewolił oszczędnego mieszczanina do współdziałania w budowie.

— Witam cię, sąsiedzie, rzekł król na daną mu audiencyi; miło mi jest widzieć zamożnego mieszkańca mojej stolicy, który własnej pracy winien swój majątek.

— Najjaśniejszy panie, odpowiedział Kwieciński,



HOTEL ANGIELSKI W WARSZAWIE

za panowania króla Stanisława Augusta, dało mu sposobność zebrania ogromnych pieniędzy. Lud warszawski, skłonny do wynajdywania wszędzie przyczyn nadzwyczajnych, głosił że Kwieciński kopiąc piasek, znalazł skarby ukryte za czasów szwedzkich, chociaż właściwie tylko praca i oszczędne życie były źródłem jego bogactw, które mu dozwoliły stawiać domy w roz-



POGRZEBANIE KOŚCI NA DAWNYM CMENTARZU Ks. REFORMATÓW W WARSZAWIE.

wielkiemu koronnemu, w zamian za powolność jakiej potrzebował jednak potężny minister, od którego dostojęstw magnata. Rzadko atoli w niem mieszkał Potocki, osiadły w Radzynie w ziemi łukowskiej; tém mniej jego synowie, a gdy Ignacy, pisarz w. ks. litewskiego, słynny w ostatnich czasach Rzeczypospolitej

maitych częściach miasta, do ozdoby i użytku służące. Nie mieszkał on nigdy w tym pałacu, lecz na Mariensztadzie lub na Solcu; zawsze czynny i starowny, napelniał spichlerze nad brzegami Wisły bogatym plonem sandomierskiej pszenicy. Dobre powodzenie uczyniło go najzamożniejszym mieszkańcem Warsza-

racz przyjąć mnie i mój majątek na twoje usługi.

— Nie, odrzekł król, jeszcze tego nie ma potrzeby. Jeżeli jednak chcesz mi coś ofiarować, to dokończ facyaty kościoła bernardyńców, a zostawisz po sobie piękną pamiątkę.

Usłuchał Kwieciński rady króla i przyrzekł dać

natychmiast potrzebną sumę, wynoszącą 94,000 złp.; ale gdy przyszło do wydania pieniędzy, położył warunek, aby koniecznie umieszczony był napis, któryby mu przyznawał całkowitej wybudowanie, lubo się wtręcił tylko części do tego przyłożył. Przystano chętnie na dogodzenie tej dziwniej w takim człowieku próżności, i ztąd powstał dotychczas istniejący tam łaciński napis, który mu w zupełności wystawienie facyaty przyznaje. I otóż jedno więcej napisowe kłamstwo, z tą wszakże osobliwszą różnicą, że kiedy zwykle pochlebiają one dumie możnych, ten jest dowodem próżności dawnego piaskarza.

Wróćmy jednak do naszego pałacu. Wprawdzie nie mieszkał w nim Kwieciński, dobudował atoli skrzydło prawe pierwszego piętra i wynajmował je dość korzystnie zjeżdżającym na obrady sejmu czteroletniego panom. Później w r. 1792 oddał go w posagu jedyniej swej córce za niejakim Szamowskim będącej, który wkrótce go odstąpił w długach Fryderykowi Schultz, bankierowi tutejszemu. Wtedy to właśnie pałac zamieniony został na hotel pierwszego rzędu, utrzymywany przez Ludwika Nesty, pod nazwiskiem hotelu Pruskiego (Hôtel de Prusse). Od Schultz nabył go w r. 1807 Tomasz Gąsiorowski, ojciec dotychczasowego właściciela; ten dobudował znowu skrzydło z lewej strony, nazwisko na hotel Angielski zmienił i tak urządził, iż wkrótce był najmodniejszym hotelem w Warszawie. Zalety te przez długi czas od innych go odznaczały i stała mu wziętość zapewniały. Tu w roku 1812 dnia 10 grudnia, cesarz Napoleon I, wracając z niepomyślniej dlań kampanii rosyjskiej, stanął na parę godzin w przejeździe przez Warszawę i klęskę swoją zgromadzonym władzom oznajmił. Stał on wtedy na dole, w małych pokojkach pod Nr. 4, gdzie dotąd przechowany jest ten sam kominek, przy którym się ogrzewał i niektóre sprzęty przez niego używane. W rok potem, dziwnym zbiegiem losu, w zabudowaniach tego samego gmachu spoczywały przez czas niejaki, wlecie 1813 roku, zwłoki jego współzawodnika, znanego generała Moreau, który zginął pod Dreznem. Wreszcie marszałek Marmont, wracając przez Warszawę z Petersburga w r. 1826, chociaż miał gdzie indziej urządzone wspaniałe pomieszkowanie w jednym z gmachów rządowych, stanął jednak umyślnie w tym hotelu, gdzie przed czterema laty chwilowo zamieszkał wódz, w końcu przez niego opuszczony.

Skręśliwszy wewnętrzną historią tej posiadłości, chcielibyśmy także nieco i o zewnętrznej postaci pomówić. O ile z planów przechowanych przekonać się można, budowa pierwotna tego gmachu była w stylu rokoka, z dachami Mansarda nad korpusem. Korpus miał tylko pierwsze piętro i facyatę pięciookienną drugiego piętra. Skrzydła pięciookienne były tylko o parterze, a narożniki, stanowiące rodzaj wieżyc, miały także pierwsze piętro nieco niższe niż korpus, podobne do dzisiejszych pawilonów koszar Mierowskich. O częściowych przybudowaniach wspominaliśmy już wyżej, tu tylko dodamy iż ostatnie odbudowanie hotelu przedsięwziętym zostało w r. 1839, według planu Feliksa Gąsiorowskiego.

Dzisiejsza rozległość całej possessyi obejmuje łokci kwadr. 12,000. Wartość szacunkowa, podług taksy sądowej, wynosi rs. 119,000, licytacja zaś rozpocznie się od dwóch trzecich tej summy, to jest od rs. 79,525. W ogóle cały ten gmach jest tego rodzaju, iż przy wkładzie stosownego kapitału może, według woli nowonabywcy, stanowić bądź hotel pierwszego rzędu, bądź pałac wielkiego pana, lub wreszcie jedno i drugie, gdyż w takim razie apartament główny może być wspaniałym pomieszkaniem nowego właściciela, kiedy skrzydła i reszta domu jakim bądź najmem dać mogą odpowiednie źródło dochodu. Nawet przyszłość jego, co do położenia miejscowości, korzystne ma za sobą nadzieje, gdy przyjdzie kolej na doprowadzenie do skutku wypracowanego projektu rozszerzenia ulicy Wierzbowej, przez usunięcie murów ścieśniających lub zasłaniających jej przestrzeń.

POGRZEBANIE KOŚCI

na dawnym cmentarzu ks. reformatów w Warszawie.

Zesłotygodniowa kronika pisma naszego podała już wspomnienie o odbytym w kościele ks. reformatów obrzędzie przeniesienia i pochowania kości. Dziś dajemy w drzeworycie obraz tego obrzędu, sądzący bo-

wiem, że miłą będzie czytelnikom naszym ta pamiątka faktu, który w mieszkańcach miasta naszego żywe obudził współczucie.

Zbierane przez długi przeciąg czasu kości z różnych miejsc dawnego cmentarza i sklepu, ks. reformacji postanowili pochować w osobnym grobie, przy wspólnej kapłanów i wiernego ludu modlitwie za pokój dusz tych, których szczątki poruszono. Wezwaniu zacnych zakonników odpowiedziało licznem zebraniem duchowieństwo i lud. W liczbie wyższego kleru, oprócz prałatów i kanoników kapituły metropolitalnej warszawskiej, widzieliśmy trzech biskupów: JW. Imci ks. hr. Żubieńskiego, sufragana kaliskiego, jako celebrującego, JW. Imci ks. Dekerta, sufragana warszawskiego i JW. Imci ks. hr. Platera, sufragana łowickiego. Obrzęd odbył się zwykłym porządkiem uroczystego nabożeństwa żałobnego. Po odprawieniu konduktu, część kości na katafalku złożonych processjonalnie przeniesiono na cmentarz, leżący od strony ulicy Senatorskiej, i tu przy grobowym dole, biskup sufragan łowicki, JW. Imci ks. hr. Plater, przemówił do wiernych. Widok kości ludzkich, ostatnich szczątków ziemskiego żywota, sam już przez się wymownym jest wielce; a tu były kości zapewne niejednego męża rycerskiej przeszłości naszej, kości niejednej matrony, która swą cnotą przyświecała domowemu ognisku; były tu kości ludzi, co przeżyli swe życie w rozkoszy lub cierpieniu, w gonieniu za małemi sprawami żywota, lub w ciągłej ofierze dla prawdy. I myśl wiernych patrzących podnosiła się tym widokiem, a dostojny kaznodzieja umiał rozwinąć w swój mowie przed oczami naszymi jedno z najpiękniejszych widzeń Ezechiela proroka (Rozdział XXXII). Pole zasłane kośćmi jest tłem widzenia. Wśród tego straszliwego pola ręka Boga stawia proroka, a ten widzi jak słowa Pańskiego siłą kości przyoblekają się w ciało, jak w ciała bezwładne wstępuje duch, jak z suchych kości powstają liczne zastępy. Widzenie Ezechielowe jasne nam światło rzuciło na te szczątki przeszłości leżące przed nami, i widzieliśmy w nich już nie smutne tylko, ziemskie resztki człowiecze, ale nasienie żywota przyszłego, nie śmierć i zniszczenie, ale życie i zmartwychwstanie. Myśl ta była myślą panującą całej uroczystości; modlitwę naszą za zmarłych, kościół płacił pociechą religijną, budząc w nas święte nadziei uczucie.

Zwracamy jeszcze uwagę czytelników, iż uroczystość powyższa odbyła się tego samego dnia, w którym obchodzono stuletnią pamiątkę narodzin Szyllera. Gdy pewna część towarzystwa naszego muzyką, śpiewem i rozprawami czcila pamięć męża, choć nam obcego, lecz wielkiego myślą i słowem, w kościele ks. reformatów modlitwą obudzono pamięć o zmarłych synach naszej ziemi, których imię zapomniane, a kości rozrzucone!.....



Panu * w Warszawie.. Życiorysu G., dla ważnych bardzo powodów, drukować nie możemy.

P. Maryi N. w Warszawie. O nadesłanie przyrzeczonych rebusów najuprzejmiej prosimy.

Panu H. J. w Warszawie. Co było pięknem i ważnem za czasów Felińskiego i Osińskiego, dziś może nie wszystkichby zajęło. Zadaniem naszego pisma jest odpowiedzieć ile możliwości wymaganiom chwili bieżącej, a więc i kwestyj przemysłowych pomijać nam się nie godzi.

Panu A. O. w Janowie gub. grodz. Wiersze okolicznościowe, a tém bardziej zwrócone do osób, nie odpowiadają celowi „Tygodnika Ilustrowanego.“

Panu L. w Warszawie. Artykuł Pański p. t. „Przejażdżka odbyta w celu naukowym“ właściwsze może znalazłby pomieszczenie w jednej z gazet warszawskich.

Panu .. K. .. w Warszawie. Przeróżający horoskop, zamieszczony w liście Pańskim, nie sprowadzi nas z drogi perspektyw zapowiedzianej. Kroniki tygodniowe są żywotną i dla ogółu bardzo pożądaną częścią naszego pisma, jak niemniej sprawozdania o sztukach pięknych i t. p. W rycinie wyobrażającej przeniesienie relikwii św. Wiktora, nie domy Krakowskiego Przedmieścia, ale sam obrzęd zamierzył ar-

tysta przedstawić. Na inne uwagi Pańskie odpowiadać nie uważamy za stosowne.

ROZMAITOŚCI.

Gazometry. Dzienniki angielskie uskarżają się na nierzetelność towarzystw oświecających miasta gazem. Zdarzały się bowiem wypadki iż w miesiącach letnich, kiedy długość dnia znakomicie powinna była wpłynąć na zmniejszenie ilości zużytego produktu, gazometry wskazywały daleko większą ilość stóp kubicznych aniżeli w zimie. Z tego powodu londyńscy konsumenci gazu podali prośbę do parlamentu, w punktach następujących: 1) ponieważ wszystko stosownie do istniejących praw, powinno się sprzedawać wedle rzetelnej miary i wagi, iżby przysięgli inżynierowie nad sprawiedliwą miarą gazu czuwali; 2) proszą o urządzenie gazometrów w ten sposób iżby te niewykazywały o 20, 30, a nawet 50 procent więcej spotrzebowanego gazu, aniżeli zużyto go istotnie.

Ulepszenie lokomotyw. Kiedy w Europie towarzystwa kolei żelaznych nie troszcą się o zdrowie i wygodę maszynisty i palacza, w Ameryce z innego punktu zapatrują się na tych przewodników, którzy mają swę pieczę powierzone życie tysiąca ludzi, od których wymaga się biegłości i zręczności w prowadzeniu pociągów, a odwagi i przytomności umysłu w razie nieszczęśliwego wypadku. Po drugiej stronie oceanu starają się ile możności uprzyjemnić im trudny zawód; tam każda lokomotywa zaopatrzona jest od strony tendra klatką szklaną, zabezpiecza maszynistę i palacza od zimna, gradu, deszczu i śniegu. Wynalazek ten niezmiernie podoba się wszystkim przyjacielom ludzkości, a inżynierowie angielscy uznali go za nader praktyczny, na przekór wszystkim przeciwnikom ulepszeń, którzy uparcie utrzymują, że maszynista musi stać na wolnym powietrzu, ażeby mógł należycie prowadzić pociąg.

NOWY KASTOR I POLLUKS,

albo

HISTORIA O DWÓCH ZASUSZONYCH KAWALERACH
NA WARSZAWSKIM BRUKU.

(Opowiadanie Cześnikiewicza.)

(Ciąg dalszy.)

Zaledwie wszedł na schody urzędowe, zostawia za sobą wszystkie prywatne interesa, nikogo nie zna inaczej, tylko po stopniu hierarchicznego biurowego upiętrzenia. Melduje się dyrektorowi wydziału, odbiera zlecenia szczególne, wraca do swojej sekcji, poczynając pracę systematyczną, z nieznośną dla wszystkich ścisłością. Najpierw przegląda interesa dzienne, odrobione na czysto referata przez kancelistów, dodaje opuszczone kropki i przecinki, monituje niedbalstwo dyżurnego. Dalej rozdaje referata wczoraj przygotowane do przepisania i odprawia wszystkich. Z flegmą największą zdejmuje świeżą suknię do ulicy, nakłada frak biurowy wyszlchtowany, wciąga kitajowe rękawki, rewiduje pióra i przycina, kładzie arkusz papieru przed sobą. Każdy interes zwykły odrabiać gruntownie i sumiennie, wypada tedy dowiedzieć się o wszystko w archiwum; notuje potrzebne objaśnienia, a gdy już gotów, schodzi do archiwum. Strach przejmuje wszystkich za ukazaniem się tej suchej postaci, żółtej jak wosk, sztywniej jak drewno.

— Mości pomocniku dyżurny! proszę.

— Jestem, na rozkazy p. kommissarza dobrodzieja.

— Proszę bez dobrodziejów.

— I owszem.

— Ekonomia Paweż, klucz Zalesie, gubernia augustowska, powiat marypolski. Akta dzierżawy od r. 1819 do 1825.

Pomocnik frunął jak ptak, skacząc szybko po drabinie; w mgnieniu oka wraca, okurzając przez drogę olbrzymi volumen.

— Powiat sieradzki, gubernia warszawska. Kassa powiatu, akta rewizyi.

Pomocnik frunął jak ptak po innych schodkach, i wraca w mgnieniu oka. Jeszcze cztery takie dyspozycje, i ułożył się na stole wielki stos papierów; aplikant zanotował komu wydane volumina, p. kommissarz zacyfrował notatkę, woźny zabiera owo ciężkie brzemie, kommissarz chce wychodzić. Ale p. archiwista młodszy wdzięczy się, kłania, drogę zabiega we drzwiach, i rozpoczyna słodziuchno:

— Panie kommissarzu dobrodzieju, interes małeński.

— Słucham.

— Pan Bóg dał mi syna, a żona moja życzy sobie aby pan kommissarz z panią referentową trzymał do chrztu...

— Cóż to, pan drwisz ze starszego urzędnika? Zapominasz że to biuro urzędowe, a godzina pracy? Jak pan śmiesz zabierać czas publiczny osobistymi bagatelami? Proszę pamiętać na drugi raz, że tutaj nie miejsce po temu!

Z zimną krwią wnosi się do swojego gabinetu, siada na koniku i przegląda akta. Znowu coś sprawdzić potrzeba. Pan kommissarz wie gdzie się udać po objaśnienia, on ma za haftkę pętelkę wszelką zdolność, choćby najwyższą, gdy człowiek za żywy i za ruchliwy; dla niego zagłupiały pedant biurowy, to filardźwigający ład i porządek, to dusza wszelkiej instytucji. Pan kommissarz notuje, a potem dzwoni. Wchodzi woźny.

— Poprosić pana buchhaltera trzeciego, z wydziału kontroli.

W minutę drzwi się otwierają, wchodzi wysoki, chudy, łysy urzędnik, w mundurze wytartym, zażółkniętej bieliznie. Twarz, to sama skóra i kości, zato charakter wybitny, a wyraz jeden, wieczny, pokazujący jednostajne wyteżenie uwagi. Oczy wielkie, wzrok natężony, nie kłania się, ale z uszanowaniem, lekko pochylony, melduje się milcząco.

— Czy nie masz pan dla mnie pół godziny czasu?

— Trzy tysiące pięćset ośmdziesiąt cztery! mam kommissarzu.

— Trzeba mi objaśnień ścisłych.

— Dwadzieścia tysięcy czterysta dwa! Objasnień dostarczę.

— Jaki był stan powiatu sieradzkiego, w ciągu dziesięcioletnich rewizyj? Wykazy roczne zaległości u debentów, ich imiona, nazwiska i miejsce.

Milion cztery kroć ośmdziesiąt cztery tysiące trzydzieści pięćdziesiąt i siedm! Zaraz kommissarzu.

To rzekłszy, wybiegł ów pozorny waryat. Przez lat dwadzieścia i cztery pracując jedynie nad summowaniem cyfer, rewidując wszelkie rachunki, gdy w ciągu pracy zapytano go o coś, zwykł był głośno powtarzać ostatnią cyfrę stojącą mu przed oczyma. W ważniejszych rachunkach ślecząc pracowicie i sumiennie, zachował rezultata niektóre w pamięci. Dusza w nim zdaje się że już tylko z cyfer składała się wszystka, wystygła serce w arytmetycznych formach. Urzędnik nieoceniony, rachmistrz nieporównany, wolny od wszelkiej dystrakcji, nikt i niczym roboty zmącić mu nie mógł; odpowiadał na pytania summując, mnożąc lub dzieląc; wcale mu nie przeszkadzało myślenie o czémś drugim. Zapytany, gdy miał odpowiadać, wyrzucał z ust szybko jakąś cyfrę nie wiedząc o tém, a potem najsensowniej mówił co wypadło. Z początku posądzano go o waryację, brano na egzamen, czemu on dziwił się niesłychanie, bo czuł się najzdrowszym i najlogiczniejszym człowiekiem. Panowie dyrektorowie na sessji dawali mu zapytania z kolei: każdemu odpowiadał, poczynając od cyfry, a mówiąc dalej sensownie. Gdy zrewidowano prace jego, znaleziono porządek i sumiennosc nieporównaną. Został tylko oryginałem śmiesznym, sprzeciwiano mu się codziennie, ale on tego nie czuł. Wszelako cyfry jego były zawsze jedne; miał ich dawniej cztery, co rok przybywała jedna lub dwie. Znalazł się figlarz biurowy, który go zdecydowanie postanowił i odgadnąć do czego odnoszą się tak troskliwie zachowane w pamięci liczby. Ile razy go tylko spotkał, zaczepiał:

— Dwanaście tysięcy trzysta! Dzień dobry kolede.

— Trzy tysiące pięćset ośmdziesiąt cztery! mówię panu! Dzień dobry, dzień dobry, kolego kochany.

I ścisłał serdecznie, pytając co słyhać nowego.

— Złapano ogromną defraudacją! Ośmaście tysięcy czterysta dwa!

— Dwadzieścia tysięcy czterysta dwa! mówię panu! Będzie diabla robota, gdy to przyjdzie do wydziału kontroli!

Otóż ów figlarz doszedł, że oryginał miał w głowie cyfry różnej miary. Im ważniejszą traktował kwestyą, tém większymi sypał cyframi. A cyfry te, zanotowawszy sobie wszystkie, doszedł, przeglądając kilkunastoletnie roboty pana rachmistrza, że były rezultatami pracowitych sprawozdań, w sprawach od których zawiśł los urzędnika lub przedsiębiorcy jakiego. Były to pamiętki wielkiego natężenia umysłu i straży sumienia. Człowiek zdolny, pracowity, uczciwy, stracił wszystkie cechy pierwotnego charakteru w mozolnej

i sumiennej pracy rachunkowej. Żona, dzieci, przyjaźnie, znajomości, wszystko to leżało na odległych planach. Dla niego najważniejszą i jedyną instytucją na świecie był skarb publiczny, dalej wydział kontroli, na trzecim planie dzienna praca, na czwartym kłopot o jutrzejszą biurową pracę, na piątym nieomylnosc trzymania księgi, dalej dopiero szła żona, dzieci, kłopot domowy, a na końcu rozrywka, na którą trzy razy w miesiącu zostawało po cztery godziny dziennie. Do biura przychodził pierwszy, wychodził ostatni, robił za siebie i tych wszystkich którzy mu pomagali, bo nikomu nie ufał, wszystko konfrontując.

W pół godziny stawiał się przed kommissarzem, podał na arkuszu papieru żądane objaśnienia, na które każdy mógł zaprzysiądz, a pan kommissarz kiwnął głową, na znak że już nie potrzebuje pomocy. Oryginał niknie.

Po trzech godzinach pracy, kommissarz niezawodnie o tej samej godzinie biegnie do paltota, dobywa paczkę z bułką swoją i zajada systematycznie. Wtedy otwierają się drzwi, woźny anonsuje interesantów z objaśnieniami ustnymi. Kommissarz dojada ostatni kasek, płucze usta i i ociera, prostuje się jak najurzędowniej i wpuszcza przed oblicze swoje interesantów. Jeżeli sprawa na dobre, słucha cierpliwie i notuje; jeżeli interes zawczesny, ucina monolog mówiacemu, naznaczając termin właściwy do objaśnień.

— Panie kommissarzu, mieszkam daleko, jestem niebogaty, czekać nie mogę.

— Deklamacye niepotrzebne! Urzędnik jest w miejscu, zostawić objaśnienia komu innemu. Proszę nie zabierać mi czasu. Woźny, kto tam jest więcej?

A gdy już nie masz nikogo, kommissarz zapala cygaro, wraca do roboty, i punktualnie do czwartej nie rusza się z miejsca.

Teraz dopiero oddycha, przeciąga się, układa papiery w biurku, zamyka, zmienia ubranie i wychodzi z swojego sanktuarium, którego nikomu nie godzi się nachodzić, znieważać interesami prywatnymi. Od przestąpienia progu, kommissarz zaczyna być swobodny, wesoły, nawet serdeczny. Kogo spotka, wita, zamienia koncepta, a spotyka już samych tylko ludzi porządných, systematycznych, pracowitych, bo próżniaki dawno powymykali się z biura. dla takich kommissarz nigdy nie miał szacunku, ani szukał bliższej znajomości. Archiwista młodszy czeka na schodach, kłania się, powtarza proźbę na chrzciny: teraz zostaje wysłuchany przychylnie. Kommissarz lubi honory, uważa to za miłe pochlebstwo. Tymczasem proszą jego i panią referentową na chrzestnych dlatego, że zamożni, bezdzietni: nużby przywiązali się do chrzestniaka i zapisali co testamentem. Ludzie zawsze rachują, uda się, czy nieuda, trzeba szczęściu otwierać drzwi; dlatego i w loteryę grają kto tylko może, bo nużby fortuna pomódz chciała, a nie znalazła drogi?

— Cztery tysiące czterysta dziewięć! Jużto kommissarz wychodzi? A ja przygotowałem małe jeszcze objaśnienie, porównanie dochodów powiatowych i stosunek rocznych zaległości. Horrendum! kommissarzu; coraz większa nieregularność! Widać ubóstwo w kraju, zamiast wzrostu zamożności. Miasta fabryczne nawet zalegają!

— Na jutro, na jutro, kochany rachmistrzu, a teraz proszę ze sobą, jeżeli łaska; dwa kursa w Saskim ogrodzie, po szklance świeżej wody, i do widzenia! a potem obiad...

— Trzy tysiące czterysta dwa! Z gustem kommissarzu! pójdziemy.

Po dwóch kursach w Saskim ogrodzie i jednej szklance wody, kommissarz idzie przejeść etatowego półrubla na obiad, irytuje się czytaniem Menu dzisiejszego, jé wolniuteńko, a potem do Loursa na kawę i gazetki, a później kurs jeden do kościoła św. Aleksandra i napowrót Nowym światem. Przychodzi wieczór, zmierzcha się, kommissarza zanoszą nogi same do Beatryczy. Posiada całe zaufanie męża, wstęp wolny do pokoju chorój, która już nie wstaje z łóżka. Zosia wita gościa z przyzwyczajenia o jednej od północy za małą godzinie. Gdy zobaczy tę suchą, zimną postać, wspomina minione lata i marzenia młode, doszukuje się śladów urody kochanka, dosłuchuje bicia serca; ale serce spokojne, bo żółądek trawi w tych godzinach, sercu przeszkadzać nie wolno. I myśli sobie biedna suchotnica:

— Po co mi było marzyć i wierzyć w ideały? Alboż jest kto na świecie co kocha? On był młody, pełen

poezyi, on rozumiał Szopena, rozumiał serce moje, wodził mię w kraje wyobraźni, pokazywał cuda, w które powoli sam przestał wierzyć. Kochał, a patrzył zimną krwią, gdy ja ślubowałam wiare małżeńską starcowi; zasmucił się na chwilę, a na weselu pił zdrowie państwa młodych tak wesoło. Wtedy pierwszy raz powiedział że mię kocha i czuwać będzie nademną. Więc dopełnia przyrzeczeń ta papierowa dusza... Mój Boże! a przecież ja go kocham, chociaż mię zabił!..

Ignacy czytywał chorój kuryera, a potem miał zawsze książkę jaką: Lillę Wenedę, Balladyne, Księcia Niezłomnego, Narzeczoną z Messyny, komedyę Boską Danta, króla Leara Szekspirowskiego. Po godzinie poświęconej kochance, wymykał się niepostrzeżenie, bez pożegnania, bo miał zamówioną partytę wista. Tak było co dzień, przez trzysta czterdzieści ośm dni w roku, bo święta ważniejsze przepędzał dodatkowym planem.

Aż razu jednego, przy czytaniu cierpień Wertera, Zosia blednąc poczęła, ogarnęło ją zimno nieznanie, przestraszyła się bardzo. Męża w domu nie było; Ignacy zając się musiał ratunkiem, sprowadzać doktora i księdza, o którego prosiła suchotnica usilnie. Ignacy długie godziny nie odstąpił od umierającej; ścisnęło się serce, jakaś zgrzyzota ozwała się w duszy i łzy popłynęły z oczu. Po przyjęciu wiatyku i odmówieniu psalmów, Zosia wypogodziła czoło; nawet doktor, widzący śmiertelne znaki, oszukał się tym fenomenem na chwilę, i wyszedł, zostawiając chorą z dobrą nadzieją. Męża nie było jeszcze; Ignacy miał nałogową partytę, przecież wyjść nie miał odwagi z pokoju gasnącej kochanki.

— Ignacy, jak to dobrze żeśmy sami. Za chwilę umrę; ojciec i matka przyjmą mię w swoje objęcia, oni tam czekają na mnie. Ja ciebie bardzo kochałam, tyś nie chciał tego widzieć, jesteś w długi wielkim względem mnie. Ja chcę, ażebyś co wiosna posadził kwiatki na moim grobie, a co tydzień przyszedł do tego grobu z modlitwą za moją duszę... Przebaczam, przebaczam ci wszystko i kocham cię jeszcze... Niech cię Bóg wspiera i łaską swoją oświeci!...

To mówiąc zimną dłonią uściśnęła jego rękę, lekko westchnęła, zamknęły się oczy, zgasł gorączkowy rumieniec: na twarzy suchotnicy wystąpiła barwa karyaryjskiego marmuru.

Ona zasnęła snem wiecznym.

IV.

Ignacy skamieniał w tej chwili, przeląkł się trupa kochanki, pokryła go bladość, dreszcz przejął śmiertelny. Długą godzinę stał nieruchomo; zbudził go dopiero głos wracającego męża Zosi, z hałasem wchodzącego do pokoju.

— Wiész Ignasiu, miałem szalone szczęście! Dałem pięć szlemów wielkich, miałem cztery razy koronę, robry sypały się jak z rogu obfitości. Grałismy przez trzy godziny piętnaście, wszystkie wygrałem... Ależ to późna godzina, a ty jeszcze w pokoju mojej żony?!... Czy się nie mylę, tyś błąd, przestraszony! Złapałem cię uwodzicielu! Doszedłem przecież wątki intrygi!

To mówiąc, w furii wielkiej pobiegł do łóżka żony, chwycił ją za rękę i wyrwał z pościeli, wołając:

— Wstawaj kapryśnico! mąż przyszedł. Ty dla niego chora, niedostępna, a gach przy tobie? Drzyjcie oboje zuchwalcy!

Dopiero gdy trup Zosi upadł przy nogach Ignacego, zląkł się brutal tego dźwięku, jaki wydaje zimne, ostygłe ciało ludzkie rzucone na ziemię. Zadrzał i onie miał. Ale wtedy ocknął się Ignacy, rzucił się na ziemię, ucałował Beatrycę, podniósł leciuchno, jakby lękał się zbudzić ją ze snu wiecznego, położył na pościeli i uklęknął do modlitwy. Uklęknął, ale po tylu latach wyrachowanego życia już modlić się nie umiał, zapomniał pacierza nauczonego przez matkę. I przeląkł się strasznie tej próżni okropnej, jaką uczuł w duszy. Zosia prosiła go o modlitwę za duszę, a on tej modlitwy za męczennicę znaleźć nie mógł. Ozwała się boleść w sercu, łzy popłynęły mu z oczu obfite, całował wyschłe jé ręce, jęczał rozpaczliwie.

— A to dopiero kłopot! ona na prawdę umarła! Oto masz przykład... ożeń się tutaj! Bodaj czart porwał stare czarownice, które mnie dwa razy do ożenienia namówiły! Mój Ignasiu, nie bądźże głupi, musisz mi pomódz przy pogrzebie, bo ja głowę tracę... To igraszka losu! Byłem przed chwilą taki wesoły, i naraz kłopot i zmartwienie! Potrzebnie jadłem ko-

lacy! wszystko skamienieje we mnie!.. Héj służba!.. pani umarła, a wy siedzicie po kątach!.. Bodaj was piorun!.. Ignacy, nie bądźże głupi!.. Już ja to widzę, że byłeś jój kochankiem.. to i lepiej że się raz skończyło...

Oderwano nareszcie Ignacego, zaprowadzono do domu. Czcigodny mąż poszedł nocować do hotelu, dawszy służbie rozkazy jakie uznał za stosowne.

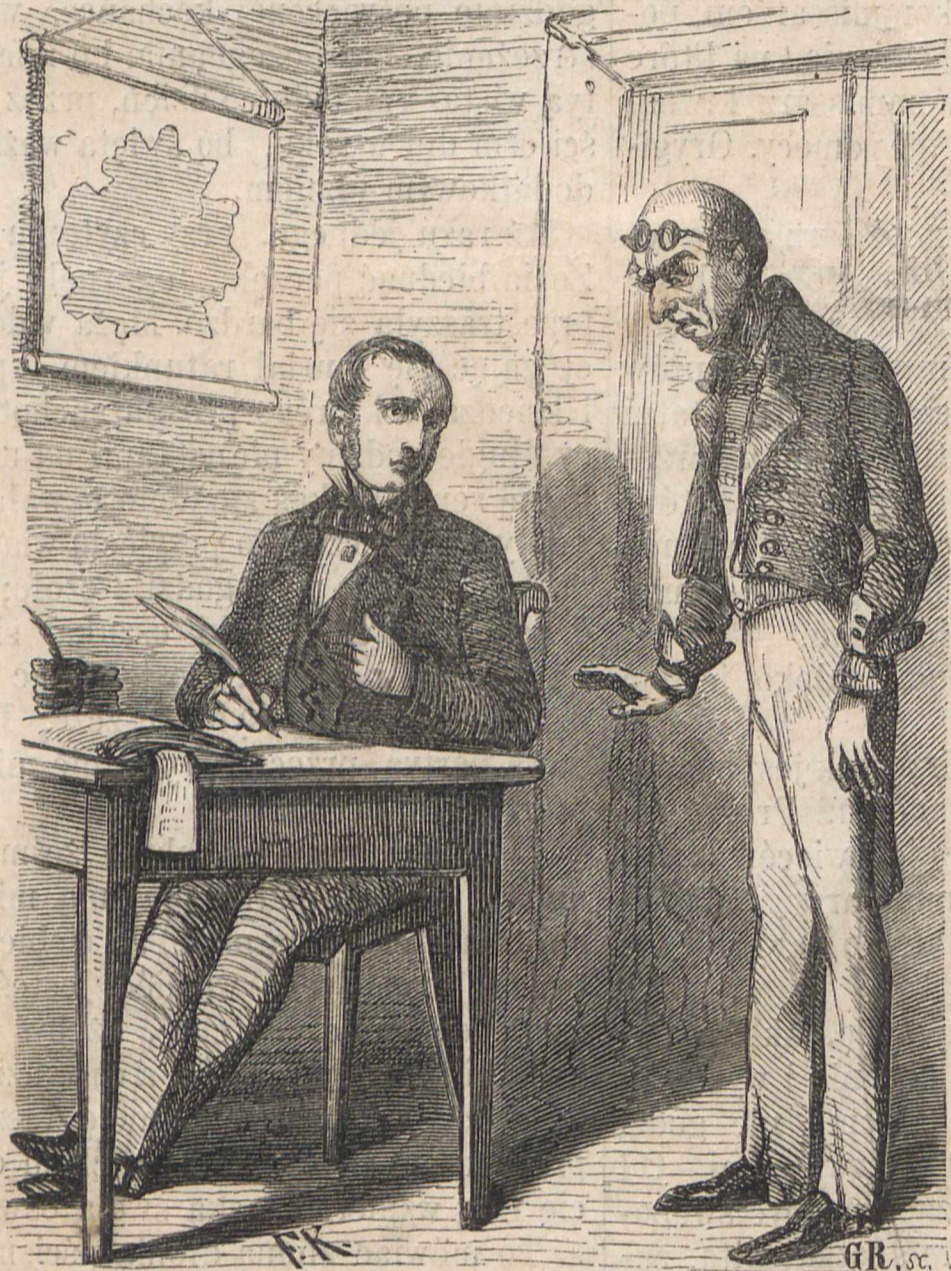
Biédna Zosia w ręku sług została, przy jój zwłokach nie było nikogo coby ją kochał.

Ignacy, z wielkiem zgorszeniem towarzysza, nie przyszedł do herbaty, w wista grać musieli z dziadem. Gdy

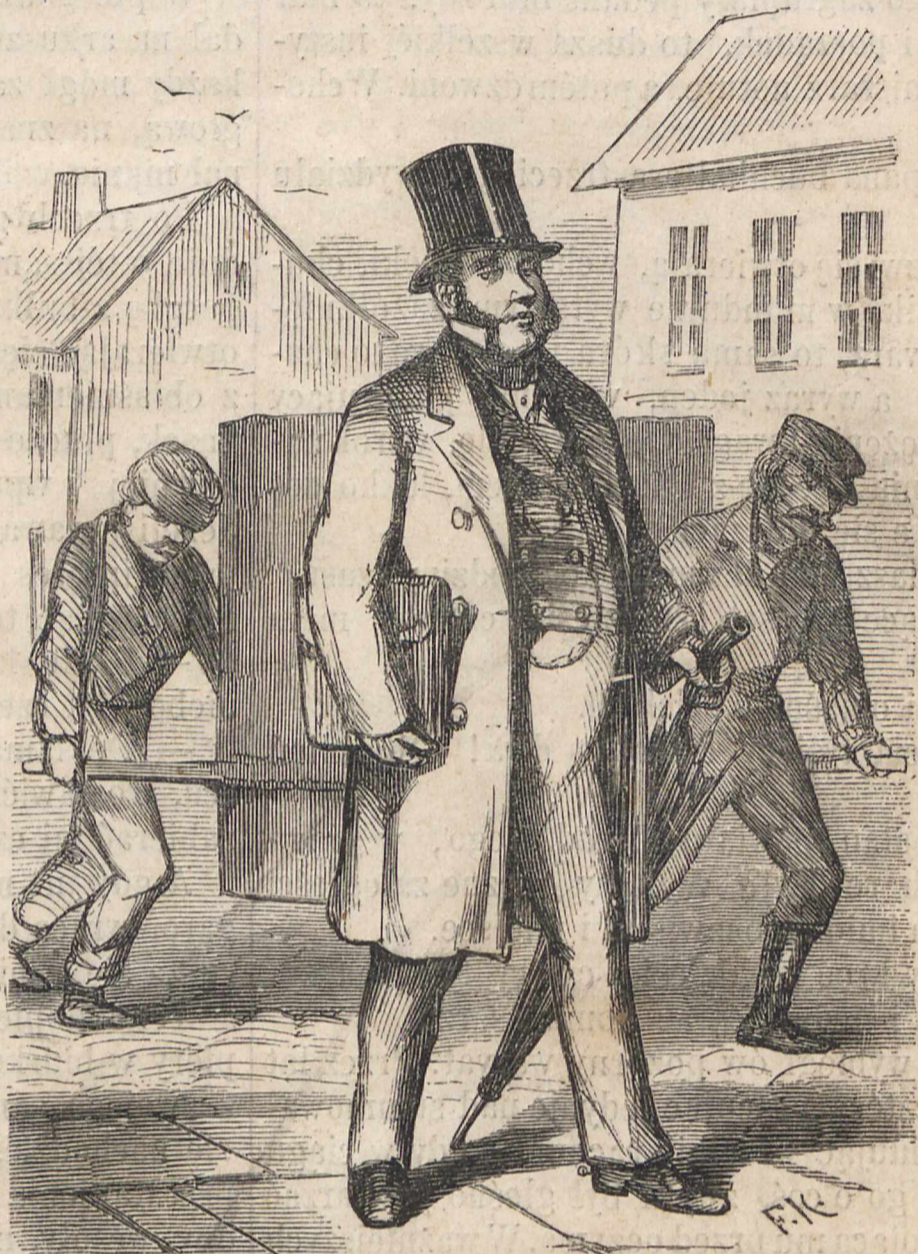
To mówiąc, kopnął nogą Ignasiowego pieska, który cisnął się do pieszczoł zwykłych; piesek zaskamlał boleśnie, a Ignacy niezwrócił na niego uwagi, do tego stopnia wybiegł z nałogów tyloletnich. Wincenty pokręcił się jeszcze po pokoju towarzysza, zakłopotał zmieszonym porządkiem domowym, nareszcie położył się i zasnął, chrapiąc na niezwyčajne tempo.

Ignacy sam został w pokoju, z rozpaloną głową, a piesek jego wierny, usiadłszy na poduszce, drżał z bojaźni, patrząc na pana w położeniu tak dziwném, że go dotąd nie popieścił. Żalodne spojrzenie miała biédna psina.

by zaś umarł, będzie kłopot z familią przychodzącą do zmarnowanej sukcesyi. Wypadło tedy umieścić chorego na wspólnej sali. Wincenty podjął straszne brzemień trudu w transportowaniu chorego do szpitala; sprowadził lektykę, eskortował Ignacego piechotą; do szpitala jednak nie wszedł, bo tam mogło być zaraźliwe powietrze. To zatrudnienie zabrało Wincentemu trzy godziny czasu; herbaty nie wypił jak się należy, spóźnił się do biura, dwóch interesantów wymkło się, z których każdy mógł zaprosić na wyborne śniadanie. Żołądek tedy poniósł klęskę, zirytował się pan kommissarz, był w złym humorze; trzy interesa odrobił



P. buchhalter trzeci wydziału kontroli melduje się p. Ignacemu Cholewie, p o. kommissarza ekonomicznego.



P. Wincenty Perła przeprowadza chorego przyjaciela na kuracyę do szpitala.

wrócił wreszcie, co tylko rozeszli się goście, samowar jeszcze kipsiał.

— Cóż to znaczy? zachorowałeś Ignasiu?

— Daj mi pokój, rozbierzcie mię i połóżcie... Oja nieszczęśliwy!

— Cóż takiego? na Boga!

— Ona umarła, skonała na moich rękach.

— Ignasiu, ty jesteś dziwak! Zapomniałeś że to suchotnica, a suchoty zaraźliwe.

— Tém lepiej...

— A to wyborne! Już to moje przecucia nigdy nie mylą. Wziąłem dwa szlemy, przegrałem wszystkie robry; zły dzień, azakończony przesłicznie! Ignacy, miej rozum!.. Umarła, icóż z tego? lepiej że raz skończyła..

Otóż to pozwolić na obudzenie się sercu; zaraz cały ład zniszczony w domu; połamie się tryb życia, zepsuje się jednostajny spokój, zniknie szczęście. Na raz dwaj kommissarze nieszczęśliwi!

Nazajutrz rano próżno krzyczały głodne czyżyki: Ignacy nie odpowiedział ich wołaniu o chleb powszedni. Rozpieszczona psina zlekła się gorączki bijącej z twarzy pana i uciekła spać na kanapkę, tuląc się na pańskim surducie. Wszedł służący, wytargał pieska za uszy, za to że przymnażał mu roboty, walając siercią suknie do czyszczenia przeznaczone. Zaskamlał biédny siérotka, wskoczył do pana na łóżko, lizało go po rozpalonej twarzy; ale pan nie odpowiadał pieszczotą. Służący spojrział na Ignacego i zdziwił się tylko zepsowanej regularności dziennego porządku. Nareszcie zbudził się otyły towarzysz i przypomniał sobie wczorajszy stan Ignacego. Zrywa się z łóżka, dzwoni, ubiera i wpada do pokoju chorego. Ignacy nie śpi, ma oczy otwarte, ale żadnej przytomności. Wincenty rozpacza na widok zerwanego ładu domowego, po raz pierwszy w latach dwudziestu wspólnego mieszkania.

Nietyle żał mu dobrego kolegi, ile samego siebie, że kłopot mozolny przybył z potrzebą pielęgnowania chorego. Zżyma się tedy i rzuca, wysyła po doktorów, zaczyna pić herbatę, chwyta zębami za szynkę i rzuca, bo mu zdaje się za twarda; gniewa się i bije poczciwego Maćka za to, że doktorów nie widać, a szynka stara. Weszło nareszcie dwóch reputowanych eskułapów, rewidują chorego i znajdują go w stanie arcy-niebezpiecznym; polecają najtroskliwsze starania i nieustającą pomoc lekarską. Wincenty zląkł się okropnie tego mozołu. Ale nie wahał się długo: postanawia Ignacego przenieść do szpitala ewangelickiego, bo on przecież musi chodzić do biura, a obcych ludzi do domu wpuszczać niepodobna, nikogo zaś z rodziny Ignacego nie było blisko. A gdy zdecydował się przenieść kolegę do szpitala, nastąpiło rozmyślanie gdzieby go umieścić, w osobnym numerze, czy w sali wspólnej? Ignacy oszczędny, delikatnością pozwała ryzykować jego funduszów jeżeli wyzdrowieje; gdy-

na sessyę, dając opinię najsurowszą, bez żadnych względów serdecznych. O zwykłej godzinie poszedł na śniadanie do handlu winnego za własne pieniądze, grymasił, wszystko było niesmaczne, obiad po wyjściu z biura jeszcze gorszy, a wieczorem wist nieszczęśliwy. Wincenty zżymał się, bił służącego który go rozbięrał i pierwszy raz wyrzekł na współki domowe. Biédne czyżyki żywiły się resztą wczorajszego ziarna i cukru, piły stęchlą wodę, a piesek zjadł wieczorem suchy kawałek chleba Maćkowego i ułożył się z nim w szlabanie do spania.

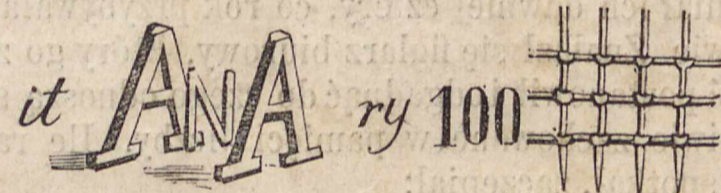
(Dalszy ciąg nastąpi.)

Zadanie konikowe.

(Bez nagrody).

wy	wludz-	le	od	ku	z trze-	mu)	ba-
wa-	gą	Czle-	cim	Wie-	za-	pro-	ty
kiém	sla-	ry	(nie	ny,	by-	wy,	ry-
z dru-	zył	mięt-	dz'e	nie-	dla	Czwar-	stą
nie-	cie-	gdys,	Któ-	pa-	wpraw-	wa	Do
w dzie-	wsza	gród	i	i-	ny.	dro-	le.
ki	i	le,	Rzy-	ka	ście-	ru-	wstręt-
Piér-	jach	wiel-	ny	Jak	mu.	Wszyst-	gę

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 8.

Sprawiedliwość w ręku człowieka z głową i sercem nigdy nie upada, jeżeli pamięta o prawach i sumieniu.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 6.

Białe.

Czarne.

- 1) C 4 — A 5 1) F 5 — E 4 bierze
- 2) B 6 — G 6 † 2) E 4 — D 5
- 3) G 6 — C 6 † i mat.